

Ignacy Krasicki

Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki

Ignacy Krasicki

MIKOŁAJA DOŚWIADCZYŃSKIEGO PRZYPADKI

Wydawnictwo Estymator
www.estymator.net.pl
Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-56-6
Na okładce: Jan Piotr Norblin „Szlachcic polski” akwarela na papierze.
E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

SPIS TREŚCI

NOTA OD WYDAWCY

PRZEDMOWA

KSIĘGA PIERWSZA

KSIĘGA DRUGA

KSIĘGA TRZECIA

NOTA OD WYDAWCY

Wydane w 1776 roku „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki" autorstwa Ignacego Krasickiego, to pierwsza polska powieść. Jest to dzieło błyskotliwe, wszechstronne i wciąż zaskakująco aktualne. Można też je uznać za symboliczny początek polskiej literatury fantastycznej, gdyż jego obszerne fragmenty – pobyt narratora na wyspie Nipu – można śmiało zaliczyć do tej kategorii.

Oryginalny tekst tej powieści został w niniejszym wydaniu nieco zmieniony, poddany redakcji. Sentencje łacińskie zostały przetłumaczone na polski (i wyróżnione niebieskim kolorem). Słowa, które dla dzisiejszego czytelnika są niezrozumiałe, zostały zamienione na ich współczesne odpowiedniki, ale tylko wtedy, gdy nie można się domyślić ich znaczenia z kontekstu, w którym występują.

PRZEDMOWA

Przedmowa do książki jest jak sień do domu, z tą jednak różnicą, iż domowi być bez sieni trudno, a książka się bez przedmowy obejdzie. Starożytni autorowie nie znali przedmów – ich wynalazek, tak jak i innych wielu rzeczy mniej potrzebnych, jest dziełem późniejszych wieków.

Wielorakie bywają przyczyny pobudzające autorów do kładzenia przedmów na czele pisma swojego. Jedni, fałszywej skromności pełni, zwierzają się czytelnikowi (choć ich o to nie prosił), iż pewni wielkiego znaczenia i nie mniejszej doskonałości przyjaciele przymusili ich do wydania na świat tego, co dla własnej satysfakcji napisawszy chcieli mieć w ukryciu. Drudzy skarżą się na zdradę, że mimo ich woli manuskrypt ich był porwany. Trzeci, czyniąc zadość rozkazom starszych, dając księgę do druku uczynili ofiarę heroiczną posłuszeństwa; i jakby to bardzo obchodziło ziewającego czytelnika, te i podobne czynią mu konfidencje.

Nieznacznie przedmowy weszły w modę; teraz jednak ta moda najbardziej panuje, gdy kunszt autorski został rzemiosłem. Bardzo wielu, a podobno większa połowa współbraci moich, autorów, żyje z druku; tak teraz robimy książki jak zegarki, a że ich dobroć od grubości najbardziej zawisła, staramy się ile możności rozciągać, przedłużać i rozprzestrzeniać dzieła nasze. Jak więc przedmowy do literackiego handlu służą, łatwo baczny czytelnik domyślić się może.

Oprócz wzwyż wyrażonych przyczyn są wielorakie inne pobudki zachęcające, a niekiedy przynaglające do pisania przedmów. Zwierza się częstokroć autor czytelnikowi, jaki miał cel, jakową intencję w pisaniu księgi swojej; jakoż godna szacunku, godna wdzięczności tak przykładna, tak zdatna poufałość. Mógłżeby się inaczej domyślić czytelnik, że książka do nabożeństwa na to pisana, aby się na niej modlić? Komedia, żeby się śmiać? Tragedia, żeby płakać? Historia, żeby stare dzieje wiedzieć? Byłby zapewne w niepewności i powątpiewaniu; i gdyby go dobroczynny autor łaskawie nie przestrzegł, śmiałby się może z tragedii, płakał czytając komedie, książkę do nabożeństwa mógłby wziąć za romans, a modliłby się na kronice.

Są tacy autorowie, którzy znając wytworność dzieła swojego, a miałkość umysłu innych ludzi, pełni litości nad czytającym gminem, raczą się upodlać i zniżać dla dobra pospolitego, tłumacząc to w przedmowie, czego w księdze zrozumieć trudno.

Ja z miejsca mojego, wielbiąc tak wielką ich duszy wspaniałość, biorę jednak śmiałość dać im radę, aby zamiast przedmowy pisali postscriptum. Czytanie przedmowy zwykło poprzedzać czytanie książki; na tym fundamencie czytelnik znajdzie na pierwszym wstępie ułatwienie trudności, o których nie wie, tłumaczenie zawiłości, o której nie słyszał. Cóż zatem nastąpić może? Oto, przerażony i nie wiedzący, czego się trzymać, porzuci księgę i z niewypowiedzianą narodu ludzkiego szkodą zostanie w pierwszej dzikości swojej.

Zachęca autor czytelnika obietnicami i naówczas przedmowa jest delikatną dzieła pochwałą; żeby zaś ujść samochwalstwu, odmienia kunsztownie postać swoją. Jest to przyjaciel, który skromnością przyjaciela zniewolił; jest to drukarz, który bez wiedzy autora przedmowę napisał; jest to, na koniec, nieznajomy obu literat, który – dowiedziawszy się o przyszłym na świat wyjściu tak pożytecznego dzieła – nie mógł się powstrzymać, żeby ukontentowania swego z czytania przypadkowego tego manuskryptu nie wyrazić.

Są melancholiczne pióra; te stylem elegii jęczą nad niewiedzą, nad zaślepieniem, nad niewdzięcznością żelaznego wieku tego. Nie chwali się autor w żałobnej swojej przedmowie, ale z przyzwoitą skromnością daje do wyrozumienia, iż na złe czasy trafił, a w Atenach i w Rzymie miałby statuy... Szkoda, że się dawniej nie urodził.

Czyż w boskich duszach może być aż tyle gniewu?

Są (mówię z żalem) takowi autorowie, którzy na wzór owego hiszpańskiego rycerza z wietrznego młyna olbrzymy robią. Ci gniewają się prorockim duchem. Jeszcze ich dzieła nikt nie czytał, już oni krytyków łają. Niekontenci ze szczególnej bitwy, wyzywają wszystkich przeświadczonych, nieuważnych, płochych, lekkich, zazdrosnych, głupich. Są zaś przeświadczonymi, nieuważnymi, lekkimi, płochymi, zazdrosnymi, głupimi ci wszyscy, którzy ich aprobować i wielbić nie będą.

Jest jeszcze rodzaj jeden autorów, całkowicie przeciwny tym, o którym dopiero co mówiliśmy. Ci, przeświadczeni o niedoskonałości swojej, a może udający przeświadczonych, pragną wzbudzać nie tak podziwienie, jak litość. Drżący i na klęczkach (jak mówi satyryk francuski), w pokornej przedmowie chcą zmiękczyć i przeprosić rozgniewanego, a bardziej znudzonego czytelnika. Starania ich daremne. W zepsutym i zupełnie skażonym tym naszym wieku największe nieprawości ujść mogą – to, co nudzi, jest grzechem nieodpuszczonym. Radziłbym takim nie pisać; ale choroba pisania jest nieuleczona.

Ja sam, niegodny współtowarzysz tego przezacnego cechu, jeszczem był tej książki nie skończył, a już kilka nowych projektów na pisanie innych książek ułożyłem. Jeżeli ta znajdzie aprobatę, wdzięcznie przyjmę łaskawy sąd czytelnika; jeśli nie, zasmucę się, ale dalej pisać będę.

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział 1

Ktokolwiek opisanie życia mojego czytać będzie, niech wie zawczasu, że to ani spowiedź, ani panegiryk. Nie dla próżnej chwały ani dla upokorzenia mojego tę pracę przedsięwziąłem; ale siedząc na wsi, gdy mam czas wolny, wolę go obrócić na to pisanie niż łamać kark za zającem albo w kuflu pedagry szukać.

Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim; którego roku, nie wyrażam, bo to się na nic nikomu nie zda; do mojej historii chronologia mniej potrzebna, a mnie też nie bardzo miło przypominać sobie, żem stary. Gdybym się chciał zasadzać na świadectwach pism pochwalnych i panegiryków przypisanych przodkom moim, które zbutwiałe dotąd u mnie w kaplicy wiszą, znalazłbym się może w pokrewieństwie ze wszystkimi panującymi familiami w Europie; alem ja od tej próżności daleki. Niesiecki nas w swoim herbarzu na złość Paprockiemu i Okolskiemu pomieścił; i mnie samemu dostało się czytać w jednym starym manuskrypcie, iż podczas owego sławnego gliniańskiego rokoszu Gabriel Doświadczyński niósł buńczuk przed Rafałem Granowskim, marszałkiem naówczas i hetmanem wielkim koronnym.

Nim zacznę mówić o moim wychowaniu, nie od rzeczy zda mi się nadmienić cokolwiek o tych, od których życie powziąłem, to jest po prostu o moim ojcu i o mojej matce. Ojciec mój, po stopniach: skarbnik, wojski, miecznik, łowczy, cześnik, podstoli, sześćdziesiątletnie ziemi swojej i województwa usługi, a także ustawiczne peregrynacje na sejmiki elekcyjne i gospodarskie przy kresie życia szczęśliwie nagrodzone i ukoronowane zobaczył: został stolnikiem. Do tego nawet stopnia poważania już był doszedł, że go podano ostatnim kandydatem do podsędkostwa, ale przeciwna cnocie fortuna nie pozwoliła dojść tego stopnia; prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszczęśliwym refleksją nad marnościami świata tego.

Dopomogła takowej rezolucji nader szczęśliwa natura: był albowiem z tego rodzaju ludzi, których to pospolicie nazywają „dobra dusza". Nic on o tym nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu. Co mu powiedział niegdyś jego ojciec (a jak starzy twierdzili, jeszcze lepsza dusza niż on), to też samo on nam ustawicznie powiadał; tak dalece, iż u nas nie tylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreszcie, był to człowiek rzetelny, szczery, przyjacielski; i choć nie umiał cnót definiować, umiał je pełnić. Z tej jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkości nieco pomylił; rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjąć jest to samo co się z nim upić. Stąd poszło, że się i inwentarz zmniejszył, i zdrowie nadwerężyło; znosił jednak pedagrę sercem heroicznym i kiedy mu czasem pofolgowała, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla kochanej ojczyzny.

Matka moja, z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba nawiedzała pobliskie miasta; skąd każdy łatwo wnieść sobie może, że jej na wielu teraźniejszych talentach brakło. Nie obchodziło jej to bynajmniej i gdy raz strofowana była przez jednego modnego kawalera, iż zdawała się mieć zbyt surowe maksymy i dzikość niejaką, obrażającą oczy wielkiego świata, rzekła mu w szczerości ducha, że woli prostacką cnotę niż grzeczne występki.

Pierwsze lata niemowlęctwa mojego spędzone były w orszaku niewiast. Niedobrze jeszcze artykułowane słowa tłumaczyły piastunki i niańki za dziwnie roztropne odpowiedzi; te z niesłychaną skwapliwością zaraz opowiadano matce mojej, która zwyczajnie od tego punktu zaczynała dyskursy przy każdym posiedzeniu; potakiwali ziewając sąsiedzi, a niejeden byłby może na koniec i zasnął, gdyby nie budził ich ojciec częstymi kielichami. Orzeźwieni wówczas, wynurzali koleją obfite życzenia, błagania i proroctwa; a mój ojciec płakał.

W dalszym czasów przeciągu nieraz mi na myśl przychodziły zdrożności początkowej mojej edukacji i zastanawiałem się nad tym, jak jest rzeczą złą i szkodliwą w niemowlęcym

nawet wieku poruczać dzieci osobom nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, których się aż nadto nasłuchałem; i częstokroć mimo rozumnego przekonania muszę się z sobą pasować, żebym gusłom i zabobonom nie wierzył lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostaję bez światła albo na osobności.

Nadto wkradał się nieznacznie gust obmowy; słysząc albowiem, jak każdego z dworskich obyczaje niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszymi bywały – wziąłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki lub ochmistrzyni, cokolwiek też przed nimi na drugich mówić; a gdy brakło okazji, udawać się musiałem do kłamstwa. Uważałem i to, że jak wieczorne rozmowy były zwyczajnie o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne o snach: jedna drugiej z kobiet opowiadała, co się jej śniło; a z ich tłumaczeń i wróżeń nauczyłem się, iż gdy się komu ogień marzy, gościa się w domu spodziewać trzeba; a gdy ząb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze.

Tak do lat siedmiu przebywszy w domu, trafiło się, iż przyjechał do nas brat matki mojej, człowiek urzędem, nauką i znajomością świata znamienity. Przypatrywałem się pilnie wujowi memu, tym bardziej iż widziałem, że go rodzice moi bardzo szanowali; dziwowałem się, iż dwa dni u nas siedząc, jeszcze się nie upił; księdzu lektorowi mówiącemu o upiorach wierzyć nie chciał. To mi wstręt do niego zaczęło czynić, iż się ze mną nie tak jak drudzy bawił; a co najgorsza, matkę moją, rozpędzoną w pochwałach, niemało, mnie zaś niezmiernie zmieszał, gdy się spytał, czy ja umiem czytać, pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI